Lwów, 15. Maja. Nr. 57. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr. —kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział ce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za następ- po 1 ½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział IX.

ZJAZD OBYWATELSKI.

(Ciąg dalszy.)

Gdy już umysły były do pewnego stopnia rozegrzane, a serca obywatelskie wylewały potoki szczerych i kordyjalnych afektów, chorąży korzystając z tego, prosił szanownego zgromadzenia o głos i silnym jeszcze głosem i z dziarską miną, rękę trzymając na karabeli w jaszczur oprawnej, mówił do nich szeroko i długo, z niemałą pretensyą do sejmikowej wymowy cycerońskiej.

Nie będziemy tu przytaczać tej mowy w całej rozciągłości, odsyłamy jeno ciekawych czytelników naszych do mnóstwa mów podobnego rodzaju na sejmie czteroletnim, którego też nasz chorąży był członkiem. Pan Wenda przedstawił przed wszystkiem panom i kochanym braciom stan rzeczy.

— Wielki bohatyr, mówił pan Wenda, idzie ku nam z zachodu, a za nim ciągną wszystkie niemal narody europejskie jak za onych czasów, gdy Persowie z swemi jak morze piasku niezliczonemi zastępami szli na podbicie świata. Na czele niezwyciężonych wojsk jego idą orly nasze, i powiewają nasze chorągiewki, prowadzone przez dzielnego wodza xięcia Józefa Poniatowskiego, którego na wygnaniu nauczyliśmy się więcej czcić dla jego nieoszacowanych talentów i czynów bohatyrskich Grecyi i Rzymu godnych, niż go szanowaliśmy gdy bliski był tronu. Rzecz powszechna i sprawa kraju wzywa nas, abyśmy w takich konjunkturach wystąpili z postanowieniem godnem naszego przez tyle wieków sławnego narodu, radząc się w tym względzie mnogich przykładów zostawionych nam, przez naszych w koronie i Litwie sławnych mężów, a naszych przodków.

Po takiej exorcie następowały, mnogie cytacje rozmaitych wypadków historycznych, dowodzące niemałej erudycyi historycznej, z których po wielu floskulach retorycznych wyprowadził nareszcie pan chorąży jasną jak słońce potrzebę zawiązania nowej antiquo more tak zwanej konfederacyi.

— Mówiliśmy właśnie o tem! szepnął książę Mieczysław...

— Doskonały koncept mego dziadka drogiego! Bo z tej całej konfederacyi spełni się oczywiście jedna tylko część, to jest krzyk olbrzymi...

— Pal go diabli! przez imaginacją, wlazł na konfederacją! mruczał pan podstolic, do podkomorzego, który ciągle z kąta w kąt chodząc, zacierał z radości ręce usłyszawszy tę od tak dawna już niesłyszaną nazwę konfederacyi. Cieszył się jak one ptaki burzę przeczuwające, przewidujące łupy dla siebie wśród powszechnego zniszczenia.

Przepowiednia pana Artura ziściła się najpierwej. Skoro się rozbiegło po sali to słowo: konfederacja! wyraźnie dobitnie przez chorążego wymówione, powitał krzyk i aplauz niepospolity. Szlachta zaściankowa sławna z kapitalnych piersi, chciała utworzyć konfederacją per aclamationem.

Udało się jej tylko na chwilę zakrzyczeć i zagłuszyć wszystkich, ale każdy czekał cierpliwie pierwszej chwili spokojniejszej by wystąpić ze swojem zdaniem, i wymową, o których dzielności jak to zwykle bywa w naszych zgromadzeniach, każdy z osobna miał jednakowe a tem samem najwyższe wyobrażenie.

— Konfederacyi chcemy! krzyczał zaścianek Jurkowiecki coraz więcej podochocony, bo zdradliwy Artur, za pomocą swojego w domie dziadowskim wpływu poddawał szlachcie bez końca ulubionego miodku.

— Przystąpmy do wyboru marszałka i innych dygnitarzy konfederacyi nowej, wrzeszczał zaścianek Gałecki niemniej ścięty.

— Niema co wybierać! krzyczeli obaj Niedankowscy głosami, któreby bezpiecznie mogły były zastąpić one trąby pod Jerycho grające, i mury rozwalające. Jaśnie wielmożny chorąży Krzysztof Wenda, jest marszałkiem konfederacyi! Niech żyje jaśnie wielmożny marszałek konfederacyi!

— Ale!... ozwał się jakiś głos z tłumu ściskającego się coraz więcej w około przyszłego marszałka.

— Niema żadnego ale! wrzeszczeli pan Piotr i pan Paweł wysuwając do pół szabli swoich. Zdrajca, kto przeciw nam! z nami będzie miał do czynienia...

— Ja tylko chciałem mówić: krzyczał jak mógł ten sam głos z pomiędzy Gałkiewiczów pochodzący.

— Mówić lada kiep potrafi! tu mospanie trzeba dobyć szabli!

— Amen! pal go diabli!

— Ale!.. do głosowania tedy! ozwał się znowu głos jakiś z pomiędzy Jurkowiczów...

— Chyba będziecie waszemi i naszemi głosować! krzyknął pan Piotr, które wam pojednamy.

— Niema głosowania na pana chorążego Wendę. Wiwat marszałek konfederacyi.

— Ale jakiej? zdołał zakrzyknąć Galkiewicz! Pal go diabli, przecie trzeba ochrzcić dzieci!

— To im puścił bąka nasz rymarz! rzekł Artur.

— Du fil a retordre! dodał xiąże.

— Zapewne! Każda konfederacja miała swoje nazwanie.

— Słusznie! A więc konfederacja Hładyszecka!

— To prywatą pachnie!

— Co waść wiesz!

— Milczałbyś waść!

— Panowie i bracia! konfederacja wileńska!

— O wa! nibyto już poza Wilnem niema ludzi patryotycznych.

— Zguba panowie! przestrzegam! zaczynają się odzywać stronnictwa!

— A więc! konfederacja litewska!

— A my co? psy! jest tu nas przecie kilku Żmudzinów! ozwały się nosowe i przeciągłe głosy.

— Za pozwoleniem!

— Niema pozwolenia! To oczywista zdrada wymierzona naprzeciw zgodzie braterskiej, aby akt konfederacyi nie przyszedł do skutku.

— Akt konfederacyi podpisywać panowie i bracia!

— Marszałka obierać!

— Konfederacją nazwać! krzyczeli jedni i drudzy cocoraz głośniej, i jakkolwiek z początku zdawała się być zgoda ogólna, pomiędzy zaściankami mianowicie, zaczynały się teraz rozbijać zdania coraz więcej i nieprzyjaźniej nie o rzecz główną, bo o nią mniejsza, ale o drobne szczegóły, w którychbodajby rzecz główna przepadła, byle przeważyły szczególne zdania. Co tam sama konfe deracja mająca się zawiązac w celu ratowania ojczystej sprawy; tu idzie o nazwisko, o barwy!

Krzyk się wzmagal, i zaczął przechodzić w kłótnie, tem łatwiejsze, że przy tej sposobności zaczynały się rozbudzać wszystkie zaściankowe nienawiście.

— Proszę o głos! powtarzał xiądz Godziemba razy kilka zanim go usłyszano.

— Xiądz infułat ma głos! krzyknęli potężnie obaj Niedankowscy.

— Pan marszałek Wolkiewicz prosił pierwej o głos! zaczęli wrzeszczeć Gałkiewicze, którym przy tej sposobności zaświtała nadzieja wygranego kontrowersu o wydmę piaszczystą, na pomocą wpływu pana Marszałka.

— Tak! tak! mruknął podsędek, głosem jaki mu się udał po raz pierwszy i ostatni.

— Xiądz infułat ma głos pierwszy! Osoba duchowna!

— Marszałek ma głos! pierwsza w obywatelstwie osoba!

Krzyk nowy; ale tym razem Niedankowscy mimo potężnego głosu, musieli uledz przewadze głosów wszystkich Gałkiewiczów. Jurkowicze z początku pomagali Niedankowskim, ale zmiarkowawszy pismo nosem, zaczęli się bawić dyplomatycznie... miodem.

Wypłynął zatem na środek pan marszałek Wołkiewicz z nieodstępnym swym adjutantem Mruczkowskim, który przybrał najgroźniejszą, na jaką tylko mógł się zdobyć minę.

Marszałek nie urodził się na Demostenesa, a mianowicie niemiał głosu jakiego wymagają mowy publiczne, ale miał za to takt prawdziwego mowcy, który rozumie okoliczności w jakich i słuchaczów, do których przemawia. Przedewszystkiem znał swoich współobywateli na wskróś, mając z nimi nieraz do czynienia w urzędowej posadzie swojej.

To też nie ganiąc zupełnie, ani zjazdu tego, ani mowy pana chorążego, przeciwnie nakadziwszy należycie i jednym i drugim, oświadczył gotowość swoją do wszelkich poświęceń, jakichby wymagały bieżące zdarzenia, i potrzeby rodzinnego kraju! Tu z całą zgrabnością wystawił położenie niepewne teraźniejszej kwestyi politycznej, przytoczył naprzykład lata minione, w których ten wielki wojownik zachodu, mając władzę w ręku, nic przecie nie zrobił dla Polski, i wszystkie poświęcenia się szeregów polskich niczem stanowczem nie zawdzięczył.

— A i dzisiaj, czyliż powiedział choć jedno słowo stanowcze? mamyż my po tylu smutnych doświadczeniach poniżać się znowu na niepewne szranki powstania częściowego: mówił dalej zapalając się coraz więcej. Bo nie łudźmy się, konfederacja częściowa, jaką nam proponuje szanowny Chorąży, nie będzie i nie może być uważana za powszechną narodową, za ruch ogólny. I sobie niepomożemy i nieznanym jego bo niewypowiedzianym planom możemy zawadzić!

A natomiast wystawił błogosławieństwo spokoju w najpiękniejszych barwach.

Przedstawił nareszcie dobrodziejstwa istniejącego już porządku, i żywo odmalował odpowiedzialność, jaka spadnie na tych, którzy ten spokój zamącą, na tych, którzy złamią wiarę rządowi przynależną. Z całą patetycznością przedłożył przytomnym obraz tego panującego im cesarza Alexandra, tak wspaniałomyślnego, który już tyle okazał sympatyi dla sprawy polskiej, uwalniając Kościuszkę i innych więźniów polskich. Jego cnoty prywatne i publiczne mające rzeczywiście cnotę rozgłosu i sympatyi pomiędzy większością podniósł w najpiękniejszem świetle.

— Od niego przyszłość nasza zależy, mówił dalej. Spuśćmy się na jego wielkie serce i wielki umysł, i pojedyńczem powstaniem, nieróbmy mu niemożliwością wskrzeszenia na-

szej ojczyzny. On jest dobry, on jest wspaniałomyślny, on jest nam monarchą; nie bądźmyż mu zdrajcami! Polak prawy brzydzić się powinien zdradą! Poruczmy nasze losy Bogu i jemu! Oczekujmy cierpliwie, jednością naszych uczuć dla niego stańmy się godnymi łask jego, przekonajmy go o wierności naszej, a niedługi czas przeminie jeszcze, niedługi czas kochani współbracia, a zbawienie nasze z jego dla nas wypadnie ręki.

Długo jeszcze mówił, pięknie i rozsądnie. Ostatnie ustępy przypadły wielkiej ilości do smaku, bo pierwszy zapał już się w krzykach i niezgodzie rozwiał, a temporyzowanie wydało się wielom najrozsądniejszą i najstosowniejszą rzeczą. Jeden na drugiego się oglądał, a gdy się zaczęli liczyć, mimowolnie przestraszyli się wielkiej odpowiedzialności, jaka spadnie na uczestników czynu nierozważnego.

— Przyszłość, i potomkowie nasi, błogosławić będą kiedyś tym, którzy umieli powściągnąć swój piękny może ale przedwczesny i niebezpieczny zapał; kończył pan marszałek. Imiona ich najpóźniejsza potomność zachowa, jako nazwiska prawdziwych zbawców ojczyzny.

— Tak! ojczyzny! mruknął potakującym głosem pan podsędek.

Siedźcie cicho w domu, i uzyskacie błogosławieństwo, potomności i nazwę zbawców, to się niepospolicie szlachcie zgromadzonej podobało. Wprawdzie powstały na nowo wrzaskliwe krzyki, ale łatwo już było przewidzieć skutki niejakie całego zjazdu, rozdzielonego już poprzedniemi kłótniami, które pojątrzyły jednych na drugich. Stronnictwo otaczające marszałka wzmagało się co chwila, a pomagał mu najwięcej Artur i jego towarzysze. A że do tego pan Artur, kazał nawet poprzestać roznoszenia miodu, więc początkowy zapał stygł wyraźnie.

Chorąży, którego długa mowa była ostatniem, prawie starca natężeniem, z serdecznym żalem spuścił głowę widząc kierunek zdania powszechnego. Osłabł nie na duchu, nie na chęciach i odwadze, ale na siłach, które mu odbierała do reszty wzmagająca się rozpacz.

Szlachta czynszowa oraz rzeźwiejsza zaczęła się nudzić. Gałkiewicze nachylali się na stronę marszałka. Jurkowicze zaczęli się wynosić po jednemu, jedni tylko Niedankowscy z dobytemi całkiem szablami, krzyczeli jeno, lecz prędzej im przyszła w pomoc chrypka niżeli głosy współbraci.

Lecz jeszcze ozwał się infułat. Przyzwyczajony do kazań, miał silną i piękną wymowę. Trudne wszakże miał położenie, bo jako kapłan niemógł poduszczać niezgodę między współobywatelami. W takim stanie rzeczy przemowa jego wzywała zarazem do wojny i do zgody! Przy końcu tylko przemógł w nim zapał jego własny, i wykrzyknął namiętnie:

— Ci co w domu chcą siedzieć, niech siedzą, niech siedzą, niech czekają, aż im przyjaciele i nieprzyjaciele rabować będą dostatki i zbiory. A ci którym drogi jest ojczyzna, na koń i do broni!..

Wykrzyk taki: na koń i do broni! znachodził naród odgłos w sercach litewskich, i byłby z samego początku cuda sprawił. I teraz nawet wstrzymała się większa połowa Jurkowiczów, nie w jednem oku zabłysł zapał prawdziwy, ale zjazd obywatelski coraz się więcej zmniejszał, tem więcej że marszałek wraz z cieniem i całem stronnictwem swojem zwiększonem z wszystkich obojętnych wyniósł się milczkiem ze sali, biorąc za pozór, że jako ziemski urzędnik nie może nawet słyszeć takiego buntowniczego wykrzyknienia.

Chorąży złamany zupełnie, postarzały od chwili o jakie lat dziesięć, stał blady nieruchomy, z oczami w dół spuszczonemi.

Stary wstydził się łzów, które mu się cisnęły do oczów. Młodemu łatwo przebyć zawody wszelkie, dziś chmurne niebo, ale jutro będzie pogoda. Ale dla starego trudno o jutro. To była ostatnia nadzieja starego Wendy, która była zgalwanizowała na chwilę jego ośiemdziesięcio przeszło letnie siły.

Na ten okrzyk księdza kanonika jak mówiliśmy roztlały ostatnie iskry zapału. Niedankowscy mianowicie wierni i niezwalczeni, zaczęli krzyczeć co głosu stało:

— Na koń, do broni!..

— Kto nami będzie dowodzić? zawołały niektóre głosy.

Pytanie to niepospolite, trudne wszędzie do zrozumienia, a u nas niestety najczęściej zabijające, bo nierozwiązalne.

U nas każdy lubi dowodzić i naczelnikować. To też powstał nowy zgiełk, w którym słychać tylko było szczególne nazwiska wykrzykiwane z kolei; a było tych nazwisk tyle podobno, ile przytomnych.

Z początku zjazdu jedno słowo byłoby pogodziło wszystkich:

— Ja! byłby zawołał stary Wenda, i byłaby zgoda. Lecz teraz chorąży uczuł się sam za starym do takiego głosu.

W czasie krzyku tego i zgiełku brygadier kręcąc się pomału skradającym się i wijącym gdyby węża krokiem, zbliżył się do naszego bohatyra, którego w tej wrzawie młodzieńcze i wzniosłe marzenia brały po raz pierwszy smutny chrzest rzeczywistości... Zadrżał nagle, na widok wpatrującego się weń brygadiera, dla czego sam nie wiedział, ale uczuł odrazę, jaka się czuje nieraz na widok gadu: zabolało go naraz i w sercu i w głowie, tam koło dawnej blizny.

— Kto pan jesteś? zagadł go brygadier głosem cichym chociaż drżącym nieco.

— Ja... nieraz bywałem... odrzekł Witołd zmieszany.

— W moim domu, wiem o tem, jako nauczyciel ry-

sunku, i częściej nawet jak było potrzeba... Ja się nie o to pytam, ja się o to pytam co pan jesteś?.. Czy pan mnie rozumiesz?...

Na to pogardliwe zapytanie zadrżał Witold cały; ozwała się w nim szlachetna duma, i chociaż nieśmiał przykrem słowem odpowiedzieć ojcu Antosi, spojrzał na niego wzrokiem tak silnym i szlachetnym, że kolej zadrzenia przyszła na brygadiera. Pan Woliński mimowolnie stracił swą zwykłą zuchwałość, i tylko odpowiedział mu wzrokiem zawziętej nienawiści. (C. d. n.)

PORÓWNANIE.

Spi młode orlę w skalistej pielusze
Wyniańczon wśród wichrów i burzy,
Spi małe dziecię w kwiecistej pielusze,
Pieśń matki pociechą mu służy.

Czas latać, patrz! orlę wnet skrzydła naprężγ,
Ni w górnym się locie zachwieje;
Czas biegać, patrz! dziecię gdy nóżki natęży
Probując krok pierwszy... truchleje.

Czas spiewać, czas działać, czas trudów nadchodzi,
Bo orlę już lata i dziecię już chodzi;
Któż prędzej w ulocie, w biegu się unuży,
I czyjaż pierś dłużej wytrzyma prąd burzy?

B. B...

Reszty rękopismu Jana Chryz. Paska.

wydane z egzemplarza ces. publicznej biblioteki w Petersburgu, przez St. Lachowicza, na nowo przejrzane, z 6ciu rycinami. Wilno, 1854.

(Dokończenie).

Oto są przedziwne charakterystyczne sceny, których lepiej od Paska niemożna opowiedzieć; wszystko to wychodzi czyste z pod jego pędzla, wszędzie oddaje on rzecz właściwym sobie instynktem malarskim.

Nie same takie tylko, powszednie, maluje nam Pasek obrazy; jakie to prześliczne, poważne malowidło msza wojskowa, w lesie na pieńku, w pośród zimy w północnej Danii. «Jeno cośmy w lasy weszli, aż ks. Piekarskiemu wiozą aparat, po który był nocą wyprawił. Tak tedy stanęło wojsko; nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu i tam odprawiało się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te deum laudamus* śpiewano, aż się po lesie rozlegało. Klęknąłem księdzu Piekarskiemu służyć do mszy; ucieszony ubieram księdza, aż wojewoda rzecze: Panie bracie przynajmniej ręce umyć. Odpowie ksiądz: Nie wadzi to nic, nie brzydzi się Bóg krwią rozlaną dla imienia swego.» — Malarz Zaleski pojął piękność całą tej kartki Pamiętników Paska. A taż figura fantastyczna obłąkanego kasztelana Zakroczymskiego, odwiedzającego jako gość, żonę swoją, piękną panią kasztelanową: Jakie to jest oryginalne owo żegnanie p. kasztelana krzyżykiem u czapki, przechodzących w polskim par, i te słowa wyrzeczone przez niego, że dla tego sam nie tańczy, że zwykł z jedną tylko panną (szablą) tańczyć, a gdyby się z tą wysunął, możeby to komu nie było do smaku.

Pasek w obrazach swoich nie bierze tylko znaczniejszych osób, wszystko idzie pod jego ołówek: chłopi duńscy, Wolski sługa, który oryginalnie bardzo przebiera się po niemiecku, a umiejąc parę słów z tej mowy, podaje się w podejrzenie, że jest szpiegiem. Gospodarz, gospodyni gospody w której p. Pasek staje gościną, wszystko się grupuje udatnie w jego książce, składając na jedno wielkie malowidło czasów i społeczności XVII. wieku. Dla malarza tego potrzeba co najwięcej miejsca, co najobszerniejszych ram.

Charakterystycznym rysem Paska jest właściwy mu humor narodowy, którym powleka czasami karty swoich Pamiętników; pogoda duszy osobliwsza, jednostajność charakteru, wiara mocna, ufność w Bogu i jego opatrzności, która oddala od niego wszelką troskę o jutro, wszelką myśl ciężką. Jak z tego powodu wesoło patrzy na życie, wszędzie znajdzie coś do niewinnego żartu. Jak opisuje figle młodych żołnierzy polskich, co wykradali w kościołach luterskich (w Danii) książki i chustki kobietom, kiedy te chowały głowy pod ławki, co jest u nich zwyczajem w kościele. Figle te śmieszyły wielce predykanta, co dla śmiechu nie mógł ciągnąć dalej kazania.

Zabawne są opisy Dunek, zabierających się na spoczynek i udających się do szaf swoich (bo w szafach, a nie w łóżkach sypiają) w takim stanie w jakim ongi udawali się do zborów swoich *adamici*. Pociesznie opisuje życie w obozie Czarnieckiego, do którego z taboru cesarczyków nadchodziły wychudłe od głodu Niemki, ofiarując się za kawałek chleba szyć koszulę. Wszystko to ożywia karty Pamiętników Paska, które ani na chwilę nie znudzą czytelnika; umie on go zainteresować, jako prawdziwy artysta, w którego piersi wszystko żyje a myśl przechodząc na płótno, nosi już na sobie tę cechę świeżości i życia, jakie tylko są właściwe płodom sztuki pięknej. Pasek jest humorysta, zawadyak, najlepszy przy tem człowiek, dobry kolężka do wypitej i wybitej, do tańca i różańca. Pod tym względem potrzeba uważać indiwidualność Paska, jako potęgę, która wywarła osobliwszy wpływ na romans historyczny polski; romanse Rzewuskiego, a więcej jeszcze utwory Z. Kaczkowskiego, noszą na sobie wyraźną pieczęć fizyonomii moralnej Paska.

Typ szlachcica polskiego jeden dotąd znany jest historycznym pwieściopisarzom naszym, a typ ten dziwne familijne podobieństwo ma z osobą p. Paska. Krytyka nie może nie zapisać tego ważnego faktu w dziejach literatury naszej;

Pasek pierwszy rozjaśnił nam życie prywatne przeszłości, wybił wyraźnie postać szlachcica polskiego, w obozie, w domu i na sejmiku; nie dziw więc, że trudno było zrazu otrząsnąć się z pod wpływu tego żywego wzoru, jaki ustawicznie nasuwał się przed oczy artyście, biorącemu się do odtwarzania naszej przesłości.

Mówiąc bezstronnie, muszę wyznać, że najwięcej w tym względzie samodzielności okazali Tarsza i Chodźko. Gdyby Pasek więcej był dbał o formę artystyczną, gdyby ograniczył się był tem jedynie, aby skupić w około siebie interes powieści, opuszczając szczegółowe epizody o krajach i ludziach, o potyczkach jakie staczał, byłaby z tego prawdziwa *powieść* walterskotyczna. Jakkolwiek bądź możemy powiedzieć, że my mieliśmy swego Walter-Scotta, na sto lat z górą przed szkockim romansopisarzem, bo jego pamiętników nie można uważać za proste notaty kronikarskie a koniecznie trzeba wziąć je za *dzieło sztuki* i utwór wielkiego obrazowego talentu; dla tego w artykule tym postanowiłem sobie rozważać Paska, ze stanowiska kunsztu, zostawiając całkiem na boku stronę dziejową dzieła; chociaż widoczną jest rzeczą, że Pasek pojmował albo raczej przeczuwał doskonale sztukę pisania dziejów w sposób malowniczy, zajmujący: kto wie nawet czy nie pióro Tacyta czasami wyrobiło nam tego szacownego pisarza-artystę, co zapewne sam nie wiedział tego dobrze, co to jest sztuka, czem jest to piętno, którem świecą jego obrazy; *poetae nascuntur!* zawsze to trzeba przyznać z Horacym.

Pasek pisał był dla siebie samego, nie myślał o druku dzieła, bo by go wydrukował, mając takie stosunki, przyjaźnie, protektorów; gdzie kogo nałajał, to z tego połajania słowa nie wyrzucał; ale oprócz tych miejsc, żadnej tu niemasz nieprzyzwoitości w mowie; wszystko przyzwoitę; wszędzie ogląda towarzyska wielka, co go nawet za granicą odznaczało i przyjaźniło ze znakomitymi ludźmi, jak to np. widzimy ze stosunków Paska z admirałem hollenderskim. Rozwinięcie języka polskiego wyprzedziło rozwinięcie innych mów jak np. języków niemieckiego, francuskiego, nawet pod względem ogłady i przyzwoitosci wyrażeń. Hotel de Rambouillet postanowił oczyścić mowę francuską z tych często brudnych i nieprzywoitych wyrazów, jakich wtedy pospolicie używano, przez co język ten wdał się w drugą ostateczność, w przesadę mowy des precieuses ridicules.

Panna Paulet, wymyśliła delikatne słówka z których wiele do dziś dnia pozostało w mowie, a które wraz z francuszczyzną, przeszły nawet do naszego języka; w słowniku wartoby było oznaczyć taki wpływ odległy w hotelu Artemizy i jej błękitnego salonu. Ale za to ileż to nieprzyzwoitych wyrażeń pozostało długo w użyciu w mowie francuskiej, która w rozwinięciu swojem zawadzała o budoary Ninon de l'Enclos, Marion de Lormes i tylu metres wszechwładnych. W listach tak sławnych pani de Sewigne wieleż to znajdujemy jeszcze nieprzyzwoitości, pomimo sitek preciozek i talentu wynalazczego panny Paulet!(*) Nie masz tego u Paska, bo nastąpił on już w złotym wieku Zygmuntów, kiedy język francuski jeszcze barbaryzmem trącił; wpływ francuskich obyczajów i mowy na Polskę, który nastał od czasów Ludwiki Gonzaga nie był więc wcale potrzebnym, jak to wielu się wydaje.

Pasek wolnym był od tej cudzoziemczyzny, gnieżdżącej się jeszcze po dworach pańskich i to słabo, jak wszystko co jest jeszcze w zawiązku. O Polkach, porównywając je z Dunkami, mówi z pochwałą; widać że zepsucie społeczności francuskiej, wylęgłej z zamieszek Frondy, nie doszło było jeszcze daleko w naszej społeczności. — Tyle na dziś o Pasku i jego Pamiętnikach.

Ant. Nowosielski.

Magnetyczne kuracje.

(Dokończenie.)

Jest jeszcze jeden środek leczenia magnetycznego wprowadzony, czyli raczej odnowiony; jest to po utworzonych teraz tak w Paryżu i Londynie dyspensorjach, czyli zakładach magnetycznych, używany aparat magnetyczny. Zakłady owe mają tę już dobrą stronę, że prócz zamożniejszych, którzy nawet w nim mieszkać mogą, codzień mają i ubożsi przez kilka godzin przystęp do rzeczonego aparatu, z którego bezpłatnie czerpać mogą zdrowie. Aparat zaś ten składa się z wielkiego naczynia drewnianego z którego wychodzi rodzaj laski stalowej, zakończonej kulą w kształcie globusa.

Laskę tę codzień magnetyzuje lekarz dyrygujący zakładem, i potem wpuszcza gości, z których po 10 naraz może wejść w stosunek z laską zamagnetyzowaną, za pomocą wstążek wełniannych, trzymanych przez używających tego aparatu.

Czasem dla wyraźniejszego okazania skutków magnetyzmu, lekarz przygotowuje kilka karafek czystej wody dystylowanej, którą daje do skosztowania, aby przekonać wszystkich, że ta woda niczem nie jest preparowana.

Gdy już laska jest zamagnetyzowana, przyczepia do niej trzy lub cztery innych cieńszych laseczek, zagiętych w końcu, z każdej koniec jeden zanurza do butelki; po kwandransie, końce te w wodzie pokrywają się jakby

(*) Wedle zdania koła Hotelu Rambouillet, potrzeba było wypędzić mieszczaństwo z mowy, przekształcano więc i tworzono wyrazy; nie można było mówić: un homme stupide, sot, wedle panny Paulet należało powiedzieć: un homme d'une inteligence épaise; potem mówiono: un homme borné, co przejęliśmy mówiąc do dziś dnia: człowiek ograniczony, nie wiedząc, że winniśmy to wyrafinowanie pannie Paulet. Wyraz *panna* (demoiselle) w znaczeniu *une femme de chambre*, to także wpływ obyczajów francuskich na Polsce w wieku XVII; słowo *cochon*, było wyrazem *mis hors la loi par les precieuses ridicules*.

lekką mgłą, która przybierając pomału barwę mleczną i różową zsuwa się na spód butelki, aż w końcu wydaje się jakby płyn jaki białawy ciągnący się.

Używanie takiego aparatu nie jest nowe zupełnie. Mezmer używał już podobnego naczynia, tylko że za niego pomiędzy siedzącemi w koło niego bywali zawsze wtajemniczeni, którzy zwykle wpadali w jakieś zapały, pojawiające się dziwacznemi ruchami.

I później próbowano tego sposobu kuracyi magnetycznej. Przed laty trzydziestu pojawił się był na Wołyniu w okolicy Berdyczowa niejaki *Smitian*, który jak się później pokazało, był uczniem sławnego Wolframa profesora i lekarza w Berlinie, i o którym tenże uczony mąż mówił zawsze jak o najlepszym uczniu swoim, i tylko żałował że całą naukę swoją i wszystkie siły umysłowe zwrócił ku mistycyzmowi.

Była to szczególna osobliwość. Brzydki okropnie, miał wszakże w oczach i na czole wyniosłem piętno wyrazu wyższości umysłowej. Wierzył a przynajmniej udawał że wierzy w świat nadzmysłowy, którego człowiek stać się może samowładym panem, za pomocą siły magnetycznej, i z tąd też tłumaczył wszystkie pojawy cudów w starożytności. Udało mu się w okolicy w której mieszkał wyleczyć kilka słabości uznanych przez lekarzy tamtejszych, za nieuleczone. Między innemi za pomocą magnetyzowania ręką, przywrócił chłopcu 10letniemu władzę w ręku, którą był utracił w skutek odmrożenia tejże ręki.

Mieszkał on w domie prywatnym, przy starym bardzo człowieku, chorującym przez wiele lat na kamień, którego chociaż nie wyleczył zupełnie, ale długo utrzymywał, przynosząc mu za pomocą magnetyzmu ulgę w okropnych cierpieniach. Córkę też starego prezesa D... wyleczył z suchot płucowych na czas długi, chociaż nie mógł jej uratować od śmierci, którą przepowiedział na dzień i godzinę prawie, co mogło dać zdanie o jego diagnostycznych zdolnościach jako lekarza.

W domu w którym mieszkał, urządził on aparat podobny do tego który wyżej opisaliśmy. Było to także wielkie kwadratowe naczynie drewniane, nakształt kubka wielkiego, którą napełniał wodą magnetyzowaną przez się, i kawałkami żelaza zardzewiałego. Z naczynia tego wychodziła laska żelazna, zagięta w górze na kształt pastorału prawie. Chcący korzystać z tego aparatu, zasiadali w koło sali, trzymając w ręku sznurek wełniany, przyczepiony do stalowej laski.

Siedzący na środku, kładł laskę niedaleko pod piersiami, i pociągał po niej od dołu do góry, jakby ciągnął ku sobie tę w aparacie zawartą siłą magnetyczną, pociąganą dalej rękami po taśmie wełnianej przez innych pacientów. Działanie magnetyzmu w ten sposób używanego, nie było mocne, ale mniej więcej zawsze skuteczne, mianowicie na słabości nerwowe.

Szmitian przyszedł w tej okolicy do wielkiej sławy, i niemałych pieniędzy. Osiadł później w Berdyczowie, i żył najchętniej z grekami, których rewolucja grecka wypędziła z ojczyzny i zagnała do Rossyi. Stał się ich ulubieńcem dla tego mianowicie, że doskonale władał językiem greckim. Z tego powodu lubił rozpowiadać o swojej przeszłości przepędzonej na wschodzie cudowne rzeczy, trącające nieco o tysiąc nocy. W ogóle lubił pokrywać się pewną tajemniczością, której do końca wiernym pozostał, bo nagle znikł z Berdyczowa, bez wieści żadnej, i nikt już odtąd nie słyszał o nim.

Ludzie podobni tajemniczością się okrywając szkodzili rozpowszechnieniu rzetelnej nauki magnetycznej. Lecz tak jak dziś ona już stanęła, wątpić niemożna, że przyprowadzi sztukę lekarską do rezultatów niesłychanych, zadziwiających praktycznym pożytkiem swoim.

Baron Paloczay.

Każdy kraj, każde państwo ma swoją odrębną historyą *feudalizmu*, przechodzącego czasem wszelkie granice. I komuż nieznane setne anegdoty krążące to w uściech ludu, to zapisane jako dodatek do historyi kraju naszego o *Staroście Kaniowskim*, strzelającym baby kukające po drzewach. Komuż obce są mniej już krwawe, a więcej dowcipne powiastki o *Wojewodzie Wileńskim księciu Radziwile — Panie Kochanku*?.

Na początku jeszcze tego wieku można było spotkać w Węgrzech jako w kraju więcej zamożnym, tu i ówdzie pojedyńczych zwolenników obumarłego feudalizmu, niejako zbiegów długo po świecie wojującej, lecz w końcu czasem pogromionej armii.

Żyli oni powszechnie w odosobnieniu od *świata* i *światła nowoczesnego*, na świetnych szczątkach niegdyś świetniejszej Ojcowizny — żyli więcej wspomnieniem jak nadzieją, wierni aż do grobowej deski zasadzie przyjętej od przodków. Jeżeli mówię w odosobnieniu od świata... niechaj nikt przeto niesądzi: jakoby to byli ludzie chorowici moralnie, podpadli może czarnej melancholii; owszem jak ich przodkowie, tak i oni nienawidzili życia spokojnego, samotnego, pustelniczego: ruch, hałas wrzawa, dźwięk staroświeckich pucharów, odgłos spijanych wiwatów... to było ich żywiołem, koniecznością codzienną, i niezbędnym warunkiem życia. Przyjmowali gości, lecz gośćmi być nie chcieli; za próg opylonego zamczyska, za granicę państwa swego tylko się w ostateczności wydalali, w którym to razie każdym krokiem, każdą chwilą jak skąpiec złotem nieradzi szafowali.

Otóż to w zbyt obecnie szczupłym szeregu podobnych

dziwaków mieścił się z końcem ubiegłego i na początku tego wieku w Węgrzech *Baron Paloczay*, posiadający rozległe dobra w północnej części Węgrzech.

Jako prawy potomek bardzo możnych przodków dzierżących prawem feudalnem nieograniczoną władzę na swoich dobrach, choć w innych czasach i pod innemi żyjąc okolicznościami, na żaden sposób temuż prawu sprzeniewierzyć się niechciał. Z powodu tego niedozwolił nigdy, aby jaki urzędnik okręgowy wykonywał w dobrach jego rozporządzenia komitatu, lecz prosił by jemu osobiście takowe przysyłano, i wypełniał je jak najdokładniej, nawet w razach niekorzystnych dla jego własnych interesów; niechciał bowiem żeby na jego dobrach jeszcze ktoś więcej prócz niego rozkazywać miał prawo.

Mimo gościnności gospodarza przytrafiło się nieraz, osobliwie w zimie, iż w salach zamczyska jego zaległo milczenie. W podobnych razach zwykł był zawsze rozsyłać służbę swoją dla napędzenia gości. Ci więc rozstawiali się po drogach, a skoro tylko jaki porządny powóz dał im się widzieć, siłą zmuszali podróżnych do odwiedzin swego pana, u którego zwykle chcąc czy niechcąc przez trzy dni gościć musieli.

Najzabawniejszy niezaprzeczenie widok przedstawiał rok rocznie w jesieni zamek Barona. Jest to bowiem w północnych Węgrzech właśnie pora roku, w której najwięcej odbywa się wesel. Roboty w polu pokończone, stodoły zbożem napełnione, jest więc i czas do zabaw weselnych i chleba podostatkiem.

W tymże czasie tedy zgromadzał baron z dóbr swoich wszystkie dziewczęta od 16tu do 20tu i chłopców od 20tu do 24 lat, a ustawiwszy w dwa szeregi mówił, przeglądając je okiem: dla ciebie Jaśku najstósowniejszą będzie Maryna; Andrzej pojmie Hankę; Stachowi przeznaczam Frankę, i t. d. Każdy brał swoją i prosto szedł do kaplicy, a spadłszy, mówiąc po naszemu, przez usta kapelana zamkowego z ambony, po czternastu dniach następowało wesele. Każdy z nowożeńców dostał krowę i inne potrzebne sprzęty gospodarskie.

Gdy zaś przypadkiem który z chłopców skrobiąc się w głowę założył formalną protestacyą, sądząc, iż dla niego lepszą by była Basia jak Kasia, natenczas baron co był innego zdania, dozwolił mu poddać się przepisanej próbie i jako dowód prawdziwej miłości wytrzymać dwadzieścia pięć karbowańców; a jeżeli z tej prawdziwie uczuciowej próby wyszedł zwycięzko, natenczas mógł sam między dziewczętami wybierać do woli.

Sławny ten egzemplarz starych zwyczajów feudalnych umarł na początku tego wieku. Syn odziedziczył prawem spadku wszystkie właściwości; lecz był to filozof- konserwatysta z niemieckiej szkoły, który prócz tego w gospodarstwie najdziwaczniejsze starał się zaprowadzić reformy, przez co o wiele nadwerężył ojcowskiego majątku.

Wnuk, obecny dziedzic tej rozległej majętności, zarażony Anglomanią, za największy poczytuje sobie zaszczyt, jeżeli kto z obcych anglikiem go mieni.

Bruno B..

Teatr polski.

O występie szumnie przez dyrekcją zapowiedzianego artysty p. Karsznickiego wspomnieliśmy pobieżnie w poprzednim numerze, i zaprawdę moglibyśmy poprzestać na tych kilku słowach, gdyby to wystąpienie właśnie nie dało nam nowych powodów do ocenienia tych wszystkich twierdzeń, jakie dyrektor p. Chełchowski umieścił w artykule umieszczonym w dodatku do Nru 53. Nowin. Przybycie p. Karsznickiego do sceny lwowskiej w niczem nie podźwignie sceny z upadku. P. Karsznicki ma głos dosyć dźwięczny, a nawet przyjemny w spiewie barytonowym, ale głos ten jest nadzwyczaj monotonny, jak to nam dowiódł w roli hrabiego Morin, starego, pełnego jeszcze życia i namiętności jenerała Napoleońskiego, w której od początku do końca, wszystkie uczucia, czy moralne gniewu i oburzenia, czy fizyczne pedogrycznego starca wygłaszał z rażącą jednostajnością. O drugiej roli szlachcica Hulakowskiego zupełnie nie popisowej jeszcze mniej jest do powiedzenia; ubrany był w kontusz i żupan, mieszał do mowy polskiej łacinę nader smutnym akcentem wygłaszaną, ale tyle było różnicy między jenerałem a Hulakowskim, że tamten był w szlafroku a ten w stroju polskim: tak nie umie przejąć się charakterem roli, tak nie ma talentu dramatycznego nawet do zewnętrznego upostaciowania roli.

Gdyby pan Karsznicki był młodym człowiekiem, początkującym w zawodzie dramatycznym, to by jeszcze wnosić można, iż może z czasem objawi więcej usposobienia do sceny. Lecz człowiek który już pół swego wieku spędził na scenie, jeźli dotąd nie rozwinął talentu, to go niezawodnie i później nie rozwinie, dla przyszłości więc sceny nic nie rokuje. Zapytać by można dla czego dyrekcja sprowadza podobnych członków, zastępując prawdziwych artystów?... My sądzimy, iż to czyni z przyczyny iż niema najmniejszego wyobrażenia o sztuce dramatycznej o talencie dramatycznym; dowodem zaś tego zdania najlepszym są dyrektora słowa w obronie swej przeciw F. Z. powiedziane:

«Co do mnie, jako biegłego w sztuce dramatycznej podobne przymioty jakiemi są uroda, młodość, czysta wymowa i głos dźwięczny dostateczną dają rękojmią, iż przy zapasie mojej własnej wiedzy i usilnego zajęcia scena lwowska będzie mieć wkrótce artystów.

Wnosząc z kierunku jaki dawano scenie polskiej, nie wielkie mieliśmy wyobrażenie o zdolnościach teraźniejszej dyrekcyi, lecz nigdyśmy nie przypuszczali aby dyrektor teatru w mieście stołecznem, mający być stróżem, kapłanem świątyni sztuki, niemiał najmniejszego wyobrażenia o istocie sztuki i uważał ją za rzemiosło mechaniczne, którego każdego młodego człowieka nauczyć można. Gdyby zdanie podobne usłyszał ś. p. Kamiński w grobie by się obrócił, on, do którego tysiące młodzieży udawało się w chęci wejścia na scen, a on ich po bliższem wyprobowaniu odsyłał do domu mawiając iż talentu nikomu nie wleje, trzeba mieć go z urodzenia. Artyści się rodzą. Ale za to wprowadzeni przez niego na scenę, byli ozdobą polskiego teatru. Lecz z drugiej strony zdanie to objawione przez pana Chełchowskiego wytłumaczyło wszystkim postępowanie dyrekcyi i przyczyny upadku teatru.

W końcu wspomnieć jeszcze musimy o fałszach na których p. Chełchowski swą obronę oparł. I tak:

Fałszem jest iż recenzent Nowin lub Czasu urągali doniesieniom p. Chełchowskiego iż nowych członków swych zalecał jako *wyposażonych*

pięknémi przymiotami natury. Zarzucili oni mu oburzające wszystkich zalecanie artystów i artystek *z pięknych kształtów ciała.*

Fałszem jest iż pani Aszpergerowa i pan Nowakowski już na pół roku przed objęciem dyrekcyi przez p. Chełchowskiego, zdecydowali się scenę lwowską opuścić. Nigdy oddalać się nie myśleli i skoro będą mogli wrócić do sceny, niezawodnie powrócą.

Fałszem jest rownież iż panu Rejmersowi brak jest pamięci i ma nadwątlone zdrowie. Od lat dwudziestu pan Rejmers jest przy scenie, zawsze rolę swą dobrze umiał, i znamy go wszyscy, iż jest człowiek zdrów i czerstwy, w pełnej sile wieku męskiego.

Gdy żaś p. Chełchowski na tych fałszach oparł swą obronę, więc nie potrzebnie było by wdawać się w dalszą z nim polemikę.

Rozmaitość.

* W sobotę wieczór przedstawiona była w teatrze opera Majerbera „Hugenoci,” czwarty występ nadwornego śpiewaka wiedeńskiego pana Stegera. Teatr był pełny, ale niestety ciekawość publiczności nie była zaspokojona. Pan Steger naprózno usiłował się wydobywać tony. Dostał nagle febry, chrypki, po drugim akcie zapowiedziano przeproszenie i tłumaczenie się w imieniu pana Stegera, z oświadczeniem iż dochód przypadający tego wieczora na jego część odstępuje na zakład ubogich to jest 250 złr. m. k. Pan Steger pomimo tak nieprzyjemnego wypadku dokończył opery i w 3cim akcie w sławnym kwartecie zaimponował swoim głosem, jednak tak był osłabł że go musiano odprowadzić do jego pomieszkania.

* Familia Efrusi jednego z pierwszych bankierów w Odessie, którego majątek liczą kilka milionów rubli srebrnych w swoim przejeździe do Wiednia zajeła była 15 pokojów w hotelu angielskim. Bawiąc tu przez parę dni odjechała wczoraj rano w 3 powozach pocztą do Wiednia. Na granicy Rossyjskiej przepuszczono tylko kobiey z dziećmi a do 30 osób napowrót do Odessy powrócić musiało.

* W niedzielę przedstawiano w teatrze balet jako ostatni występ panny Lanner, pp. Levasseur i Frappart, teatr był przepełniony. Panna Lanner odpowiedziała wszelkiemu oczekiwaniu, była niezmordowanie z największem entuziazmem oklaskiwana, po kilka kroć przywoływana i kwiatami obsypana. Po skończeniu baletu na nowo wywołaną została i oprócz kwiatów, sonetami zarzucona. Nasz najdostojniejszy Arcyksiąże bawił do końca i wyraźnie swoje zadowolenie okazał. Pan dyrektor Gloggl także przywoływany, co zapewne znowoduje go jeszcze parę razy ten balet powtórzyć. Balet nosił nazwę francuską „La vivandiere et le postillon,” osoby były polacy hr. Sokołowski, Karczmarz Wesołowski. Wieśniacy i Wieśniaczki w ubiorach niemieckich, tak n. p. Karczmarz Wesołowski miał kamizelkę kroju starodawnego niemieckiego i szlafmicę. Jeden hr. Sokołowski który miał niby kontusik krótko spięty z rękawami na wyloty.

* Koncert w niedzielę w południe przez towarzystwo muzyczne w sali redutowej wyprawiony, dobrze się powiódł. Sala była pełna. Bliższe ocenienie w następnym numerze.

Przyjechali od dnia 11. do 12. Maja. do Lwowa.

PP. Chyliński Adolf z Wistowic. Thullie Jan z Mokrzan. Prokosch Karol ze Sanoka. Trzciński Emilian z Grzymałowki. Bakowski Jan hr. ze Stryja. Czermiński Juliusz z Glińska. Strzelecki Eugen z Wyrowa.

PP. Ciemirski Tomasz z Kliska. Doliniański Sew. bar. z Dolinian. Borowski Egidiusz z Tórki górnej. Krasiński Piotr hr. z Rohatyna. Kuczyński Leo z Lubowa. Zgaździński Konstantyn z Ulicka. Barański Michał z Radłowic. Starzyński Leopold hr. ze Sambora. Żurakowski August z Gródka. Dąbrowski Marcin z Mędrzełówki. Zołtowski Jan z Buczacza.

Wyjechali od dnia 11. do 12. Maja ze Lwowa:

PP. Kozłowski Michał do Klińkowiec. Komarnicki Bolesław do Jackowiec. Dzieduszycki Edward hr. do Zborowa. Korytowski Rafał do Tarnopola. Wolski Marcin do Kamionki. Obertyński Leopold do Stronibab. Młocki Alfred do Łopatyna. Szczepański Tadeusz do Czajkowic. Komorowski Piotr hr. do Bilinki. Medwey Frańciszek do Stupnicy.

PP. Zawadzki Józef do Stryja. Strzelecki Eugen do Wyrowa. Bielawski Karol do Przemyśla. Lisowski Wojciech do Sambora. Korytowski Karol do Tarnopola. Ożarowski Konst. hr. do Strzémilec.

Kurs telegrafowany z Wiednia 14. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr.	128	Pożyczka 5% 79½ 4½	—
Hamburg za 100 tal. banco	93⅝	Akcye banku	986
Londyn za 1 funt szterl.,	12 28	Kolej północna	1855
Medyolan za 300 lirów	126¾	Obl. ind.	73
Paryż za 300 franków	148⅝	Nowa pożyczka z loteryą	101
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa	84

Kurs Lwowski Wczoraiszy

	Gotówka zł.	kr.	towarem zł.	kr.
Dukat holenderski	5	48	5	52
Dukat cesarski	5	52	5	54
Półimperyał zł. rosyjski	10	54	[illegible]	[illegible]
Rubel srebrny rosyjski	1	57	1	58
Talar pruski	1	53	1	55
Polski kurant i pięciozłotówka	1	24	1	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	92	40	93	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	72	15	72	40
5 proc. pożyczka narodowa	84	—	85	—

Lwów, 14. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 15 kr. do 43 złr. — kr. — Żyta po 26 złr. 15 kr do 29 złr. 30 kr. Jeczmienia po 24 złr. 45 kr do 25 złr. — kr. Owsa po 17 złr. 30 kr. do 20 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 21 złr. 30 kr. do 22 złr. — kr. — Ziemniaków po 16 złr 30 do 17 złr 30 kr. Sąg drzewa bukowego 55 złr — kr. do — złr. 8 kr. Sosnowego po 45 złr. — kr. do 47 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 53 kr. Cetnar słomy 3 złr. 45 kr. do 4 złr. — kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Do dzisiejszego numeru dołączony jest dodatek.

Z powodu Święta w Czwartek, Nowiny wyjdą jutro o szóstej wieczorem.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

WYPRZEDAŻ
WIELKIEGO ZAPASU PŁOCIEN
prawdziwych i niesłychanie tanich.

Spadkobiercy pewnego fabrykanta towarów płóciennych, niedawno zmarłego, poruczyli mi do szybkiego wyprzedania wielki zapas

płócien wszelkiego rodzaju,

które podczas teraźniejszego jarmarku Lwowskiego sprzedawane będą za **CENY TAK NADZWYCZAJ NISKIE,** że Szanowna Publiczność pewno nie opuści tej sposobności zaopatrzenia się w prawdziwe płótna, gdyż nie tak rychło znowu we Lwowie nadarzyć się może podobna sposobność.

Ponieważ komitenci moi handlu nie rozumieją i dla tego w żaden sposób dalej prowadzić go nie chcą, więc otrzymałem polecenie wyprzedania wszystkich towarów

o 25 procentów taniej od cen dotychczasowych.

Wszystkie towary są z prawdziwej ręcznej przędzy i bardzo dobre. Że zaś jako obcy i tutaj nieznany wymagać nie mogę zupełnego zaufania, zwłaszcza, że zaufanie Publiczności do wyrobów płóciennych przez nierzetelność i różne oszukaństwa ostatniemi czasy bardzo osłabionem zostało, więc oznajmiam dla zabezpieczenia nawet owych kupujących, co się na płótnie wcale nie znają, że za płótna swe ręczę i

50 dukatów w złocie wypłacę temu,

kto mi w jakimkolwiek odemnie kupionem płótnie pokaże choćby odrobinę bawełny.

Ceny stałe, *z których w żaden sposób nic się nie spuszcza, są następujące:*

Tuzin białych chustek od nosa . . .	od 3 złr.
Tuzin serwet do herbaty	„ 1 »
Obrusik do kawy	„ 1 «
Łokieć ręczników	„ 7 kr.
Tuzin szarych ręczników	„ 2 złr.
Obrus wielki bez szwu	„ 2 „
Sztuka płótna z białej przędzy 39 łokci	„ 7 „
Sztuka płótna tęgiego 48 łokci .	od 9 złr. 30 kr.
Sztuka płótna z nici na 12 koszul, 55 łokci	od 12 złr.
Sztuka płótna cienkiego na 12 koszul, 56 łokci	„ 14 „

i coraz wyżej

Sztuka weby płócien. $^6/_4$ łok. szer. 66 ł. z przędzy ręcznej	od 20 złr.
Sztuka przedniej holend. weby z przędzy ręcz.	„ 24 „
Sztuka przedniej irlandzkiej weby „ „	„ 28 „
Sztuka konstancyjskiego koronowego płótna z przędzy ręcznej	„ 32 „
Sztuka weby batystowej z przędzy ręcznej	„ 60 „
Sztuka rumburskiej weby $^6/_4$ ł. szer. 70 ł. z przędzy ręcznej	„ 24 „

i coraz wyżej

Płótna na prześcieradła bez szwu, 3 łokcie szerokie, bielizna stołowa wszelkiego rodzaju na 6, 12, 18 i 24 osób z przędzy, drelichu i adamaszku, poszewki na poduszki, chustki od nosa niciane, kolorowe i prawdziwe francuskie batystowe, wszelkiego rodzaju obrusiki do kawy, niciane wełniane i jedwabne sprzedają się stosunkowo jeszcze taniej.

Dla wyprzedania prędszego dodaje się przy sprzedaży towarów na raz za **Sto złr.**

BEZPŁATNIE

1 obrusik do kawy z sześciu stosownemi serwetami, 1 wielki obrus bez szwu, pół tuzina ręczników i pół tuzina białych płóciennych chustek od nosa.

Miejsce sprzedaży w Hotelu angielskim na pierwszém piętrze Nr. 71.

M. Beyer z Wiédnia.

(84. 2)

Podpisana

REPREZENTACYA DLA GALICYI

ces. król. uprzywilejowanej Tryestińskiej

AZIENDA ASSICURATRICE

WE LWOWIE

zabezpiecza równie jak w zeszłym roku

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH

PRZEZ

GRADOBICIE

wyrządzone,

bezpośrednio w biórze przy ulicy Pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175 $^2/_4$, lub też przez ajentów na prowincyi, na podstawie funduszu towarzystwa t. j.:

Wypłacając zabezpieczonemu całkowitą szkodę zabezpieczoną.

Taż sama **Reprezentacya**, jakoteż jej **Ajenci** na prowincyi udzielają **Żądającym zabezpieczenia** potrzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **Szanownych Stron** odpowiada **Reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii.**

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

1) Nazwę miejsca, t. j. miasteczka lub wsi;
2) jak dawno zabezpieczenie Żądający w miejscu zamieszkały;
3) czyli można z **pewnością podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miejsca gradobicia, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich **osmiu latach**;
4) czyli sam poniósł w tymże miejscu szkodę;
5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemiopłody nie zostały już gradobiciem, mrozami lub inuym sposobem uszkodzone.

Co do kawałków pól w szczególności:

1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemiopłodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego poia, tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — pojedyńczo zrobiony — może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
2) Ilość morgów i korcy wysiewu z oznaczeniem gatunku ziemiopłodu.
3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na nulę.

We Lwowie, w maju 1855.

1szy Sekretarz:	*2gi Sekretarz:*
Leon Ostrowski.	**Konstanty Wodecki.**